

Jerzy Chapiorski

Al.J.Piłsudskiego 21 m.32.



Nazywam się Jerzy Chapiorski. Urodziłem się 27 sierpnia 1932-go roku w Białymstoku. Moja matka była robotnicą fabryczną i pracowała w fabryce włókienniczej u Machaja. Ojciec był żelbecistą. Jego dziełem są takie prace jak żelbety na Krywlanach w Białymstoku, magazyny wojskowe przy ulicy Towarowej, magazyny "Społem" i inne. Do wojny jeszcze nie uczęszczałem do szkoły. Zacząłem się uczyć dopiero w 1939-tym roku w szkole podstawowej nr 15 przy ulicy Lipowej. Mieszkałem w pobliżu, przy ulicy Żabiej nr 7. Nawet dziś nie jestem w stanie odpowiedzieć na pytanie, dlaczego zostaliśmy deportowani. NKWD miało swoje metody postępowania i ścigania. Wiadomo było, że mój ojciec był w wojsku z J. Piłsudskim w 1920-tym roku. W Legionach J. Piłsudskiego nie był, bo był z rocznika 1897-go. Gdy w 1939-tym roku zorientował się, że do nas nadchodzą Rosjanie / w końcu września Niemcy odstąpili miasto i okolice swoim sojusznikom/, w obawie przed nimi dał "drapak" do Warszawy. Tam, w Warszawie, był przez cały czas. Kilkakrotnie potajemnie przyjeżdżał do nas do Białegostoku, przekraczając "zieloną granicę".

Władze radzieckie kilkakrotnie wzywały ojca do stawienia - dziś już nie pamiętam, do jakiego urzędu - ale mama niezmiennie i zresztą zgodnie z prawdą odpowiadała, że ojca nie ma, że jest w Warszawie. Gdy my pojechaliśmy na Syberię w 1941-ym roku, to ojca NKWD aresztowało w Warszawie w 1945-tym roku. Żeby już zakończyć wątek ojca: został przewieziony do Workuty, gdzie przebywał do 1956-go roku. Do kraju nie wrócił i nie wróci. Tam zmarł i tam został pochowany.

W chwili aresztowania nas /mamy i mnie/ przez NKWD miałem niespełna dziewięć lat. Ukończyłem drugą klasę szkoły podstawowej i akurat wyjechałem na wakacje do babci do Czarnej Wsi /obecnie Czarna Białostocka/. Mamę aresztowano wczesnym rankiem, o świcie, w Białymstoku. Dano jej 15 minut na spakowanie rzeczy. Moich rzeczy nie pakowała bo sądziła, że skoro nie ma mnie w domu to wywózka mnie ominie. Zabierała tylko swoje rzeczy i te, które doradzili żołdaci, bo mogą się przydać. Zapakowała też sporo rzeczy ojca oraz prowiantu do kosza do psie-^oli. Część tych rzeczy później wypadła z kosza i została. Żołdatom nie powiedziała, gdzie ja jestem. Jednak ktoś "usłużny" doniósł, gdzie jestem. Przyjechali do Czarnej Wsi po mnie, do babci Pauliny Potockiej. Sąsiedzi w Czarnej Wsi w ostatniej chwili ostrzegli nas, że po mnie idą. Schowałem się do psiej budy, ale i tam mnie znaleziono. Dwóch letienantów odwiozło mnie do Białegostoku. Pamiętam, że pogoda była ładna: słoneczna, bezwietrzna i ciepła. Po drodze moi konwojenci rozmawiali ze mną grzecznie. Było to w piątek, 20-go czerwca 1941-go roku. W niedzielę Niemcy ruszyli na wschód.

Dowieziono mnie na dworzec Białystok Fabryczny /wówczas Poleski/ i załadowano do wagonu. Wkrótce pociąg ruszył. Towarzyszył temu płacz, lament, śpiewy i zbiorowe modlitwy. Nie pamiętam trasy przejazdu. Pamiętam tylko, że jechaliśmy przez Baranowicze. W jakimś miejscu transport zatrzymał się. Było to w odległości około kilometra od jakiejś wsi. Napotykana ludność wyraźnie nam współczuła. Przynoszono nam chleb, mleko. Pamiętam, że otrzymałem butelkę koziego mleka, którego dotychczas nigdy nie piłem.

Byłem ubrany na "letniaka" w momencie aresztowania i tak rozpocząłem podróż. Nie pamiętam, jak długo jechaliśmy. Wydaje

mi się, że podróż trwała około dwóch tygodni, może trzy. O wybuchu wojny dowiedzieliśmy się w transporcie "pocztą pantoflową". Nas nadal transportowano, pod konwojem, w zamkniętych wagonach. Dano nam co parę dni po wiadrze zupy na wagon oraz, już teraz sobie dokładnie nie przypominam, czy codziennie czy co drugi dzień, zezwalano kilku osobom na wyjście pod konwojem po wodę. Dowieziono nas w ten sposób do miejscowości Bijsk w Altajskim Kraju. Tu na skraju miasta zebrano nas wszystkich z wagonów i rozdzielono według miejscowości, do których mieliśmy być skierowani; czy do łagru, czy do kołchozu czy gdzie indziej. My zostaliśmy skierowani do łagru Ust Niza. Jest to miejscowość położona koło Ojrot-Tura przed Alech Manach. Tam jechaliśmy tielegami około dwóch tygodni, chyba dziesięć dni z Bijaska. Wolno to się odbywało. Były częste postoje. Pamiętam, że na początku tego etapu podróży zmarła bardzo młoda dziewczynka. Pozwolono nam ją pochować. Po tem, gdy zwolniono nas z łagru, przez cały czas mieszkałem w Bijsku. W Ust, Niza przewieziono nas przez bystrą, górską rzekę Katuń, promem. Za rzeką intensywność ochrony wyraźnie zmalała, bo też i możliwości ucieczki warażnie x zmalały. Z jednej strony otaczały nas wysokie góry a dalej granicą z Mongolią, z drugiej wartka rzeka, której przepłynąć wpływ niesposób, tylko ten prom na grubej linie. W łagrze było kilka baraków setnie zapluskwionych, w których rozlokowano tylko część transportu, bo dla części nie starczyło miejsca. Przez parę tygodni, między nimi ja z matką, koczowaliśmy pod wysokim drzewem, pod sosną o średnicy około półtora metra. Tak więc nam nie kapkało z nieba. Nasze warunki bytowania nieco polepszyły się, gdy nam dano takie obszerne namioty wojskowe, ale bardzo dziurawe. One od deszczu nie bardzo chroniły.

Praca była różna. Dorośli byli zatrudnieni w tajdze przy trzebieniu lasu. Starsi karczowali las, ścinali drzewa a my, młodzież i dzieci, zajmowaliśmy się zbieraniem i paleniem gałęzi. Cała ta praca miała tylko jeden właściwie cel: danie nam zajęcia. Klasyczny przykład przelewania w pustego w próżne. Ale "kto nie rabotajet tot nie kuszajet". Następnie po podpisaniu Układu Sikorskiego ze Stalinem zostaliśmy zwolnieni na niby "wolną stopę" to znaczy, że mogliśmy dowolnie oddalić się na odległość około stu kilometrów. Dokumentów żadnych nam nie zwrócono. Wówczas przeprawiliśmy się przez rzekę na drugą stronę i musieliśmy zadbać na własną rękę, żeby jakoś z tych gór wyjechać, gdzie można by jakoś żyć, coś robić. Bo tam nie było nic. Matka, znając język rosyjski, bo wychowywała się w rodzinie kolejarskiej, która w czasie pierwszej wojny światowej przebywała w Rosji, zaczęła szukać jakiejś okazji. Wyjeżdżaliśmy jako jedni z ostatnich. Tu nas spotkała wielka przykrość: okradziono nas z tych nędznych rzeczy, jakie mieliśmy. Matka poszła akurat z kobietami do Ojrot-Tury szukać jakiegoś miejsca, ja zostałem z dwiema dziewczynkami. Nas jakoś wyprowadzono z tego gospodarstwa pod jakimś pretekstem i okradziono. Matka zameldowała o tym na miejscowej milicji ale bez żadnego efektu. Odpowiedziano, że nic nie ma, że to bandyci i koniec. Moja mama nie mogła tego darować głównie dlatego, że obszabrowano nas z ostatków. Gdzieś po roku napisała oświadczenie, że jeśli milicja to znajdzie, to proszę te odzyskane rzeczy przeznaczyć na Krasnuju Armii. Wówczas, bardzo szybko, winowajców odnaleziono a mama otrzymała pisemne podziękowanie.

Pamiętam nieco nazwisk osób, z którymi tam byliśmy: Leszek Januszko, który obecnie mieszka w Białymstoku. Tam był z ojcem i matką.

Pamiętam rodzinę Jaskólskich: matka z dziećmi. Była też z nami rodzina pp. Jarockich: matka i dwoje dzieci - Jurek i Irena. Pamiętam też rodzinę Pawłowiczów: babcia, rodzice i dwoje dzieci, małżeństwo Winnickich. Liczna też była rodzina Jakielów: matka i troje dzieci - trzy dziewczyny. Pani Jakiel jeszcze żyje. Jedna z trzech sióstr - Jadwiga - obecnie Kretowicz, jest w naszym Związku Sybiraków w komisji kombatanckiej. W Białymstoku przebywa też Irena Jaworska, mieszka przy Alei J. Piłsudskiego. Matka z rodziny Januszków zmarła w Altajskim Kraju.

Część z nas wyjechała do Ojrot-Tury /obecnie Gornoaltajsk/ a inni - w tym i nasza rodzina - do Bijska.

W Bijsku mama pracowała w arteli, wiązała swetry na front. Była to praca, którą wykonywało się w domu. Mieszkaliśmy w kantorze. Był to punkt, przez który przechodziło tranzytem bydło. Tam mama pracowała w kuchni a ja pomagałem przy bydle, świniach i gęsiach.

Zacząłem tam chodzić do szkoły. Była to oczywiście szkoła rosyjska, nr 10. Tam ukończyłem trzy klasy.

Bijsk jest miastem dość dużym. Jest tam trochę przemysłu. Tu bierze początek trakt transsyberyjski. Jest to szosa, która biegnie do Mongolii i dalej do Chin. Tym traktem przez całą wojnę szły transporty na front, głównie żywność z Mongolii. Wieziono też ogromne ilości sprasowanego siana, początkowo niewielkimi samochodami radzieckimi marki "Zis", później samochodami trzy i pięciotonowymi. Później, gdy Rosjanie otrzymali pomoc z Ameryki, widać było samochody, głównie "Fordy" amerykańskie i kanadyjskie. W zimie też ruch nie ustawał. Jeździły pojazdy zaopatrzone w płozy.

W Bijsku mieszkaliśmy początkowo przy ulicy Altajskiej, następnie przy piereułku Niekrasowa i wreszcie przy ulicy

Kolcowskiej.

Po drugiej stronie transsyberyjskiego traktu stał drewniany, piętrowy dom, w którym mieszkała rodzina Rzędzianów. Nie pamiętam imion rodziców. Ich trzech synowie nazywali się: najstarszy Józef, średni Dominik a imienia ^{młody} najmłodszego z braci już nie pamiętam.

W tym domu, w czasie poboru do wojska polskiego, przez pewien czas zamieszkiwał wraz z rodziną obecny gen. W. Jaruzelski.

Gdy był pobór do armii gen. Wł. Andersa, zgłosił się Józef Rzędzian. Jednak, z nieznanych mi powodów nie zdążył na transport i, jak wielu jeszcze innych, został. Później z tego tytułu był wraz ze swoimi kolegami prześladowany przez władze radzieckie. Przez jakiś czas siedział w więzieniu. Pamiętam, że donoszono mu tam jedzenie.

Ja też usiłowałem "dać dyla" z synem pani Kowalskiej, ale byłem zbyt mały i nie miałem wystarczającego doświadczenia. A jemu, Jurkowi, udało się. Dotarł do armii Andersa. Tam był w harcerstwie. Obecnie mieszka w Anglii.

Gdy Armia gen Andersa opuściła ZSRR, wyraźna była wrogość władz radzieckich do Polaków. Wielu z tych, którzy zgłosili chęć wyjazdu do Andersa, było szykanowanych a nawet więzionych. Wkrótce rozpoczął się drugi etap wojskowej epopei Polaków - pobór do wojska gen Z. Berlinga. Z tych, którzy tam pojechali, pamiętam p. Winnickiego. Do tego wojska pojechał też pewien mężczyzna, który po jakimś czasie wrócił, ale już bez ręki. On wrócił z Rosji do Białegostoku. Widywałem go często po powrocie.

Życie religijne rozpoczęło się już w Ust-Niza. Jak już wspomniałem, tamtejsze baraki były bardzo zapluskwione. Jedno z pomieszczeń dokładnie posprzątano i przeznaczono na kaplicę.

W kapliczce był ołtarz. Nie odprawiano tu nabożeństw, bo nie było księdza. Mimo ciasnoty w barakach pomieszczenie przeznaczone na kaplicę zawsze stało puste.

Wieczorami urządzano ogniska, przy których prezentowano wiersze, skecze, śpiewano piosenki. Na tych wieczornych spotkaniach było dość wesoło.

Jak już wspomniałem, tu ochrona a właściwie obecność władz były minimalna, wręcz symboliczna, bo też i możliwości ucieczki były w zasadzie żadne. Chyba dlatego stosunek władz do naszych praktyk religijnych był tolerancyjny. Nie przypominam sobie, aby z tego tytułu ktoś był represjonowany.

Osobną sprawą była kwestia obywatelstwa, która wystąpiła ze szczególną mocą po zerwaniu stosunków dyplomatycznych między rządem Sikorskiego a Stalinem. Przyczyną zerwania była sprawa katyńska. Władze radzieckie uważały, że skoro pochodzimy z terenów zajętych przez Armię Czerwoną to tym samym automatycznie jesteśmy obywatelami Związku Radzieckiego. Mówiło się wówczas między Polakami, że więzionych namawiano do przyjmowania obywatelstwa białoruskiego. Skoro przyjechaliśmy, jak nam mówiono, z "Zapadnoj" Białorusi, to z całą pewnością jesteśmy Białorusinami. Oczywiście te kwestie dotyczyły dorosłych. Mnie nikt w tej sprawie o zdanie nie pytał.

Niektórzy z jakichś powodów dali się bądź to przekonać bądź zastraszyć. Stało się to przyczyną wielu tragedii osobistych i rodzinnych w 1946-tym roku, kiedy to powstała możliwość powrotu do Polski. Tym, którzy podpisali zgodę na przyjęcie obywatelstwa radzieckiego odmówiono prawa powrotu do kraju. Nalegającym pokazano dokumenty, które oni sami przed kilkoma laty podpisali. Byli to prawdziwi nieszczęśnicy. Wśród nas też byli tacy, ale nazwisk ich nie pamiętam.

Właśnie na tle sprawy o obywatelstwie doszło do tragedii. Młoda dziewczyna, miała wówczas 15 albo może 16 lat, pracowała w szpitalu. Jej matka podpisała zgodę na przyjęcie obywatelstwa radzieckiego. W 1946-tym roku okazało się, że z tego powodu powrót do kraju nie wchodzi w rachubę. Dziewczyna ogarnięta rozpaczą poszła do wilgotnej piwnicy, włożyła mały palec do kontaktu elektrycznego i zginęła.

Z jedzeniem na codzien było bardzo trudno. Przydziały karłkowe chleba nie wystarczały. Zimą bardzo często zamiast chleba wydawano ciasto. Pewnego razu mnie posłano po to ciasto. Nie miałem w co tego zapakować i niosłem w rękach przydziałową porcję na dwie osoby. Nie wytrzymałem i wszystko zjadłem. Oczywiście dostałem za to baty.

W ~~zimo~~^{lecie} sytuacja była bez porównania lepsza. Można było jeść kićki brzozone, kwiat akacji czy mieloną czeremchę. Było wiele produktów pochodzenie roślinnego. Ziemi tam jest sporo. Ulice tamtejsze są bardzo szerokie. Przed ulicami sadziliśmy ziemniaki a w obejściu kukurydzę. I to na jakiś czas wystarczało. Najtrudniej było przetrwać surową, syberyjską zimę, która trwa bardzo długo.

Stosunek miejscowej ludności do nas, Polaków, nie był wrogi. Miejscowi, Altajcy, to lud prymitywny. Myśmy z nimi w górach dokonywali tzw. "towarobmian", czyli handel wymienny przynajmniej do czasu, kiedy jeszcze mieliśmy co wymieniać.

Mieszkający tu Rosjanie też nie byli wrogo nastawieni do nas. Powiem nawet, że odnosili się do nas z pewną sympatią. Oczywiście nie wszyscy. Mnie na przykład usiłowałam zgładzić; utopić lub zakopać w śniegu. Kiedyś z kolegami poszedłem do lasu na narty. Tam spotkaliśmy kilku podpitych mężczyzn. Gdy dowiedzieli się, że jestem Polakiem, wepchnęli mnie głową w zas-

pę w ten sposób, że zawisnąłem na nartach. Moi koledzy, wystraszeni do ostateczności rozbiegli się. Ledwie stamtąd się wydostałem. Groziło mi zamrożenie.

Zresztą na tamtych terenach rozboje były zjawiskiem codziennym. I nie zawsze były to wysoki o charakterze chuligańskim, jak mój przypadek w lesie. W pojedynkę nie wolno było wychodzić, gdyż mogli rozebrać czy zarżnąć. Rozboje na Syberii były zjawiskiem tak częstym, że aż prawie normalnym.

Ciekawy był stosunek miejscowej ludności do błyskawicznych postępów armii Niemieckich, prących w głąb ZSRR, zwłaszcza na Moskwę. Ku mojemu zaskoczeniu, miejscowi ludzie byli z tego zadowoleni. Liczyli na to, że Niemcy oswobodzą ich ze stalinizmu. Ponieważ nas Polaków nie obawiali się, przeto mówili o tym przy nas bez obaw.

Nie pamiętam dokładnie roku, ale było to w okresie, gdy odbywał się pobór do Pierwszej Dywizji Piechoty im. T. Kościuszki. To był chyba rok 1943-ci. Wówczas powstał i zaczął działać Związek Patriotów Polskich /ZPP/. Jego siedzibą było miasto Bernaul a w Bijsku był oddział. Zapisało się do niego dużo Polaków. Ja oczywiście nie, bo byłem zbyt mały. Moja matka też do ZPP nie zapisała się. Pamiętam, że z tego związku otrzymywaliśmy jakieś dary pochodzenia unrowskiego. Mnie trafiły się bardzo ładne buty. Stopa na długość była dobra ale wąska. Natomiast moja stopa, od ciągłego chodzenia bosą przez całe lato, była za szeroka. Próbowałem w nich chodzić, ale pokrwawiłem sobie nogi i musiałem z nich zrezygnować. A przyszło mi to niełatwo, bo były bardzo ładne. Innych faktów związanych z istnieniem i działalnością ZPP nie przypominam sobie.

Wyjazd do Polski nastąpił w 1946-tym roku w kwietniu. Tu trzeba wspomnieć, że klimat na Syberii jest taki, że tam występują w zasadzie dwie pory roku: lato i zima. Wiosny i jesieni

tam nie widać; tego się tam nie odczuwa. Nas przewieziono na drugą stronę rzeki Bija już w ostatniej chwili. Jechaliśmy samochodami ciężarowymi po lodzie, na którym już były kałuże. A rzeka jest szeroka: od ośmiuset metrów do kilometra. Ten przejazd wywołał wiele emocji.

Zajechaliśmy na stację kolejową w Bijsku /bo mieszkaliśmy na Zarzeczu/. Tu otrzymaliśmy na drogę suchy prowiant. Pamiętam, że była to kiełbasa moskiewska i chyba nic więcej.

wreszcie ruszyliśmy. Mieliśmy oczywiście kabtę repatriacyjną z której wynikało, że mieszkaliśmy w Bijsku przy ulicy Kolcowskiej. Eszelon składał się z wagonów towarowych. Podróż i tym razem trwała około trzech tygodni. Trasa była dość pokrętna. Jechaliśmy oczywiście przez Ural, Kirów, Ominęliśmy Moskwę i dotarliśmy do Kurska. Tu zarządono postój całodzienny. Podejrzewam, że chodziło ~~nam~~ o pokazanie nam pobojuwiska. Chodziliśmy z kolegami po terenie bitwy. Pełno było popalonych czołgów i samolotów. Na ziemi wałało się dużo broni i amunicji. Nawet z kolegami trochę tym się bawiliśmy.

Następny, *też* całodzienny postój zarządono we Lwowie. Nawet zwiedzaliśmy ~~miasto~~. Pamiętam, że napisy w mieście były w języku polskim i rosyjskim /napewno nie ukraińskim/. W tramwajach z konduktorami rozmawiało się po polsku. Na ulicy posługiwano się językiem polskim.

Następny etap wypadł w Lublinie. Tu zarządono nam drugą ~~łaźnię~~ /*pierwsza była* w Nowosybirsku razem z "weszobojką". Tu zarejestrował nas Państwowy *Urząd* Repatriacyjny. Otrzymaliśmy po 500 zł na osobę. Proponowano nam osiedlenie się w Wałbrzychu. My, podobnie jak i inni z Białegostoku, nie zgodziliśmy się, chcieliśmy bowiem wracać do swojego miasta. Wówczas stwierdzono, że nia ma transportu do Białegostoku. Na szczęście

mąż pani Kowalskiej był zawiadowcą stacji w Białymstoku i przy jego pomocy udało się rozwiązać tę trudność. Pani Kowalska zadzwoniła do męża, który przyjechał salonką z lokomotywą i zabrał tych kilka wagonów do Białegostoku. Jechaliśmy przez Zamość, gdzie był dzień postoju i Bielsk Podlaski, w którym wysiadł pan Dorożko z rodziną. Do Białego-stoku dotarliśmy dokładnie drugiego maja 1946-go roku.

Po powrocie czuliśmy się nieco rozczarowani. Ojca nie było. Wiedzieliśmy, że jest w Rosji ale nie wiedzieliśmy, czy żyje i gdzie ewentualnie dokładnie jest. Dopiero później dowiedzieliśmy się, że przebywa na Warkucie.

Mieszkanie zastaliśmy rozszabrowane przez sąsiadów. Nie mieliśmy gdzie mieszkać. Przez lato zatrzymaliśmy się u babci w Czarnej Wsi. Wkrótce mama znalazła pracę w Białymstoku przy ulicy Czystej. Po jakimś czasie zamieszkaliśmy przy ulicy Brukowej na poddaszu. Ja rozpocząłem naukę w tej samej szkole podstawowej nr 15. Klasy w tej szkole były zorganizowane semestralnie. Oznaczało to, że w ciągu roku realizowano program dwóch klas. Młodzież była bowiem wiekowo wyrosnięta, zaniedbana i niedouczona, jak to po wojnie. Ja na tym skorzystałem, bo w ciągu dwóch lat skończyłem cztery klasy. W 1948-mym roku skończyłem osiem klas.

Następnie poszedłem do Liceum Budowlanego, do klasy wstępnej. Szkołę skończyłem w 1952-gim roku z wynikiem bardzo dobrym. Taką samą ocenę otrzymałem na egzaminie końcowym.

Na studia nie udało mi się dostać. Otrzymałem nakaz pracy do Warszawy do Przedsiębiorstwa Budownictwa Przemysłowego nr 1. Tu pracowałem do chwili powołania mnie do wojska, które odbyłem w Płocku. Po wyjściu "do cywila" przyjechałem do Białegostoku. Tu podjąłem pracę w Wojewódzkim Biurze Projektowym. Tu pracowałem przez 5 lat. Skończyłem studia na Politechnice Białostockiej. Pracuję w Okręgowym Przeds. Lasów Państwowych w Białymstoku

Notatki: Staszkiński 21.9.1960